

# Kronika

## tygodniowa

Dowiedzieliśmy się zatem z obrad Komisji budżetowej, że nasz deficyt wynosi zaledwie około osmdziesiąt miliardów marek. Przeczytawszy o tem, ten i ów chwycił się za głowę i zapytał sam siebie po czesku: „kto to bude platić?...”. Oczywiście nikt inny tylko my, podatnicy, z szczególniejszem uwzględnieniem Małopolski, w której śruba podatkowa, odziedziczona po śp. Austrii, choć skrzypli, ale funkcjonuje jako tako, gdy natomiast w Kongresówce starają się ją dopiero w ruch wprowadzić, lecz idzie to z trudnością.

Ten deficyt, który do końca roku kalendarzowego dojdzie zapewne co najmniej do stu miliardów, wygląda na eko bardzo poważnie, w gruncie rzeczy nie jest przecież tak wielkim i przerażającym, jeśli się zwąży, jak mała wartość przedstawia nasza marka, nie dorównująca nawet dawnemu c. k. halerzowi, na który spoglądaliśmy z politowaniem, nie za niego kupić nie mogąc. Dziś z tem samym uczuciem patrzymy na markę, a gdyby się znalazł ktoś, chcący nią obdarować żebraka, może być pewnym, że zamiast podziękowania spotka się z najerdynarzejsem wymyśleniem, jakiego nie śniła swym dobrodziejom krakowskie dziady. Dziś i ubogiemu trzeba dać co najmniej dwadzieścia marek, to też „dziślenny zarobek” takiego indywiduum wynosi kilka tysięcy. Przekonano się o tem niedawno gdy przy jednym z aresztowanych włóczęgów znaleziono ponad cztery tysiące marek, które, jak twierdził, zebrał tego dnia od szeregu litociwch.

I dziś dopiero, zastanawiając się nad naszym deficytem budżetowym, cieszymy się naprawdę, że nasza marka tak nisko stoi, że zatem ten niełobór, obliczony na dawną walutę, wyniesie zaledwie tysiączną część tego, co wykazują urzędowe sprawozdania.

Z drugiej strony jest to objaw bardzo pocieszający, że mamy tyle diągów, gdyż świadczy to, iż stoimy na silnych nogach finansowych, gołemu bowiem nikt nic nie pożyczczy.

Warto się jednak nad tem zastanowić, co jest przyczyną tych naszych niedomagań finansowych, a na to pytanie nasuwa się odpowiedź, iż jest nią „racjonalna” gospodarka, na którą stale słyszymy narzekania. Minister skarbu nie może nadażyć z drukowaniem nowych biletów bankowych, gdyż koledzy jego szafują nimi tak hojnie, jak gdyby to były zwykłe świstki papieru, a nie pieniądże, za które państwo odpowiada. Ale i temu nie można się dziwić, jeśli się zwąży, że wielka liczba naszych dostojników na różnych odpowiedzialnych stanowiskach te ludzie nie mający pojęcia o tem, skąd i po co się tam znaleźli, a ponieważ mogą wydawać pieniądze, gdyż nie idą one z ich kieszeni (zato dość często do ich kieszeni...), syją też nimi na prawo i lewo. Jutro to możemy sobie powiedzieć, że dzięki „klęczowi partyjnemu” mamy u nas tego rodzaju dziwolągi, iż na przykład wiceministrem spraw zagranicznych może być weterynarz, który się zna na sprawach wewnętrznych u krów i koni, inspektorem rolniczym, profesor gimnazjalny, filolog, aprowizatorem fabrykant papy dachowej, gdyż wszędzie ich tam stroniłstwo, do którego należą, a które w danej chwili znajduje się u steru. Mniej już raz, jeśli wiceministrem skarbu zostanie referent podatkowy z jakiegoś prowincjonalnego miasta, lub gdyby na stanowisko ministra zdrowia powołano golibrodę, a na kierownika kultury i sztuki kataryniarza, gdyż każdy z nich bodaj trochę zna się na tem, do czego pełnienia go wezwano.

Ponadto wyrządzają skarbowi państwa nieobliczalne szkody różnego rodzaju „rycerze przemysłu”, którzy spekulują na konto państwa dla swego pożytku, pewni zupełnie bezkarności, jakiej im użycza przynależność partyjna. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera, a obie są niewiele warte. Któż ich zresztą skontroluje, jeśli ich bezpośredni przełożeni, to ludzie o domowym wykształceniu, wiedzący zaledwie tyle, że żyją, ale nie wiedzący poco właściwie. Wierzyć się prosto nie chce, czytając w naszych piśmach o transakcyach handlowych niejakiego pana Krupskiego, prezesa Międzyhandlowej polskiej we Wiedniu, że podobne praktyki mogą być cierpliwie i to tak digne. A takich Krupskich jest cały legion, tylko ich nazwiska szczególnym trafem nie dostają się do publicznej wiadomości.

I tu mamy znowu jeden z powodów naszego niełoboru budżetowego i niskiego stanu naszej waluty, mającego dziś, gdy papier drogi, mniej więcej tę samą wartość co drukarska makulatura.

W ślad za tem nasuwa się i drugie pytanie, czy wogóle i kiedy można się spodziewać poprawy tych

stosunków. Na to pytanie odpowiedź nie jest tak łatwa, jak na poprzednie. Nie możemy przewidzieć, jak prędko marka nasza wzmocni się do tego stopnia, iż mogłaby dorównać nie frankowi, lecz bodajby swej niemieckiej siostrzycy, nad której spadkiem kursu płacą ciągle Niemcy, a przecież grubo więcej warta, niż nasza. Zależy się, że poprawa wartości naszej marki nie nastąpi tak szybko i wymagać będzie gruntownej sanacji stosunków w każdej dziedzinie, co z natury rzeczy wymaga sporo czasu.

W każdym razie mamy bodaj tę pocieszę, że jesteśmy narodem milionerów, w ślad bowiem za owym osmdziesiątą miliardowym niełoborem i depracyacją naszej marki idzie też i konieczność płacenia za wszystko setkami i tysiącami w rezultacie tet i konieczność ciągłych podwyżek wynagrodzeń, aby dany osobnik mógł jakoś dotrzymać do tej chwili, gdy będzie nieco lepiej. Pięćdziesiąt tysięcy marek miesięcznie dla rodziny, złożonej z kilku osób, a chcąc wiedzieć życie bodajby trochę podobne do przedwojennego, to zupełnie nie zawiele. A rocznie wynosi to przeszło pół miliona!... Inteligentów, którzy cieszyliby się takim zarobkiem miesięcznym jest stosunkowo niewielu, daleko zaś więcej pracujących fizycznie, czytaliśmy bowiem w ubiegłym tygodniu, iż w Warszawie niekwalifikowany robotnik miejski pobiera miesięcznie dwadzieścia dwa tysiące marek nie licząc różnych udogodnień. A cóż dopiero mówić o ukwalifikowanym?... Na to jednak nie trzeba szukać Warszawy, z czemś podobnem spotykamy się i na naszym gruncie. W pewnej krakowskiej instytucji, zajętej tam artysta malarz, zatem inteligent, pobiera miesięcznie gaży *aż* dziesięć tysięcy marek, gdy natomiast robotnik dodany mu do pomocy, a zajęty rozcieraniem farb, czasem zaś dopuszczany do podmalowania płótna, zarabia w tym samym czasie *tylko* dwadzieścia tysięcy i jeszcze narzeka, że mu się krzywdą dzieje i wyżycie nie może.

To wszystko, co wyżej powiedziano, to materiały bardzo odpowiedni do owego wiekopomnego dzieła: „O dobroczynnych skutkach wojny światowej”, którego napisaniem ma się zająć kronikarz zając w najbliższym czasie, o ile naturalnie nie stanie mu coś na przeszkodzie i jeśli znajdzie nakładcę. W poszukiwaniach za owym materiałem zwrócił się kronikarz zapytaniem do jednego z kupców, u którego kupował zapalki (pudełeczko siedm marek), co jest powodem takiego ich podrożenia i dowiedział się, że na to złożyły się rozmaite okoliczności, przede wszystkim zaś ogromnie wysokie wynagrodzenie robotnika i niebywale wprost ceny wszelkich materiałów surowych. Idąc zatem po nitec do kłębka spotkawszy na wódcę u Manrixa jednego z robotników, który dawniej gasił prągnięcie u Siapki lub Barberowskiego, poprosił go o informację, co wpływa na te ciągle żądania, stawiane przez robotników o podwyższenie wynagrodzeń. Odpowiedział, że ogólna drożyzna, a jako przykład postawił choćby wódkę, za której kiliszek płacić musi sześćdziesiąt marek, lub węgle bez których żona w domu obiadu się ugotuje. W dalszym zatem ciągu należało dojść dlaczego węgle tak podrożały. I oto z ust jednego z większych węglarzy usłyszał, iż przedewszystkiem wchodzi tu w grę ogromnie podniesione taryfy kolejowe. Sam węgiel jest tani, drogiem jest jedynie jego wydobywanie i transport. Trzeba było zatem powiadozić się co do taryf u zawodowego kolejarza, a ten oświadczył wprost, że do podniesienia opłat przewozowych przyczyniło się przede wszystkim podrożenie węgla. Wytworzyło się zatem błędne koło, węglarz zwał winę na kolejarza, kolejarz na węglarza, w rezultacie przecież obaj przyznali, że nie bez wpływu na te stosunki jest i gwałtowne podrożenie artykułów pierwszej potrzeby, przede wszystkim zaś tych, których dostarczają agrarynsze, paskujący gdzie się tylko da na korzyść własnej kieszeni a szkodę bliźnim. W rezultacie aby dotrzeć do jądra prawdy, trzeba się zatem było pofatygować do agrarynsza, ten zaś wysłuchawszy tak skawie, machnął lekceważąco ręką i rzekł:

— Niema a czem gadać!... Drożyzna musi być, jeśli ja za pudełko zapalek płacić muszę siedm marek!

Po wysłuchaniu wszystkich tych rewelacji, był kronikarz dopiero jak tabaka w rogu, wiedział bowiem, że wszystko podrożało, ale nie mógł się dowiedzieć, komu to ma właściwie zawdzięczyć. Wywiady przeprowadzone przez niego, wyszły od pudełka zapalek i na niem się skończyły.

Czytając swojego czasu w dawniejszych wspomnieniach, że w latach 1812 i 1818 płacono za guldena srebrnego przeszło tysiąc papierowych, byliśmy zdania, że to chyba przesada, dziś przecież wiemy, że można temu wierzyć, jeśli weźmiemy na uwagę obecne stosunki.

Dziś nie trzeba zmieniać papierów na srebro, a dochodzi się do tego samego mniej więcej rezultatu. Przed wojną za papierową koronówkę można było otrzymać sto pudełek zapalek szwedzkich, dziś za to samo *quantum* zapłacić trzeba siedemset marek papierowych. Przy

innych artykułach spotykamy się z podobną różnicą, na czem przecież wychodzą najlepiej konsumenci i nabywcy, odzwyczajając się powoli od kupowania rozmaitych rzeczy, bez których, jak im się przedtem zdawało, nie byłoby się wstanie obejść. Taki na przykład pan radca lub inny burżu był pewny, że bez kielliszki wódeczki przed obiadem nie strawiłby należyte darów Bożych, teraz obchodzi się zupełnie dobrze bez niego, gdyż go na to nie stać, a takim się cieszy apetytem, że, gdyby go wstyd nie było, sprzątnąłby za jedynym zamachem płac obiadowy w głodnej kuchni, nie sobie z tego nie robiąc, iż w skład ich wchodzi fasola. Natomiast sfry pracujące fizycznie doszły do tem silniejszego przekonania, że wódeczka wpływa bardzo korzystnie na wzmocnienie energii życiowej i one też są jej głównymi konsumentami. A ponieważ ona drożeje z dnia na dzień, maszą się też co kilka tygodni upominać o podwyższenie wynagrodzeń.

Z temi podwyżkami dzieje się bardzo ciekawie. Wytworzyło się tutaj błędne koło, które ciągle się obraca, ale raz w końcu musi pęknąć i rozsypać się w kawałki. W miarę, jak drożeją artykuły codziennej potrzeby, następują też i podwyższenia wynagrodzeń, a ma ono ten skutek, że przemysłowcy i kupcy podnoszą znowu ceny, wychodząc z założenia, że należy ciągnąć, skoro jest z czego, zresztą marki bezpieczniejsze są w ich werthelmowskich kasach, niż w dziesiątych kieszeniach ludności. Po tej zwyczajce cen nastąpić musi nowe podniesienie wynagrodzeń i jedno za drugim idzie kolejno aż do skutku. Kiedy tego koniec będzie, to trudno przewidzieć, sprzedającym nie sprzyja się nigdy zgarniania monety i chowanie jej, kupujący natomiast mogą dojść do tego stanu, iż wreszcie powiedzą sobie: „Teraz już nie damy rady!...”. A wtedy kupiec i przemysłowiec, aby się pozbyć swego towaru, będzie musiał zniżyć ceny, które oczywiście nie będą nigdy już takimi, jakimi były przed wybuchem wojny. Każda większa wojna ma to do siebie, że jednym z jej dobroczynnych następstw jest drożyzna, odtąd stale się ją utrzymująca. W ten sposób płaci ogół kosztu wojny, choć bynajmniej sobie nie życzył, aby panowie królowie lub cesarze wodzili się za rby, niżem chłopci na jarmarku.

Abym dziś podołał wydatkom, trzeba stale nosić ze sobą worek wyładowany banknotami, gdyż w portfelu, chociażby był nawet takich rozmiarów, jak owe, których przed wojną używali rzeźnicy, stanowczo się nie pomieszcza.

Ktoś tam zastanawiał się i to nawet bardzo poważnie nad tem, kiedy wzmocni się nasza waluta i doszedł do przekonania, że nastąpi to dopiero wówczas, gdy większa część marek polskich znajdzie się zagranicą, a tamtejsi spekulanci giełdowi powiedzą sobie, że nadszedł już czas, aby na markach zrobić dobry interes i sami zaczęli je podbijać w kursie, wiedząc o tem, że skarb polski musi za nie zapłacić, a stać go na to. Konsekwentnie obniżają też wartość naszej waluty i stale ją wyławiają, przyjdzie jednak czas, że sami postarają się o to, aby odzyskała pełny swój walor, na czem jednak wyjdziemy najgorzej my, dostając się jako dłużnicy w zupełną zależność od wierzyciela. Mamy tu naturalnie na myśli ogół, gdyż nie brakuje jednostek, które także i na tem zrobią dobry interes.

Ten moment jeszcze nie nadszedł i prawdopodobnie tak szybko spodziewać się go nie można. Marka spada w coraz szybszym tempie i doprawdy trzeba czuć wdzięczność wobec tych, którzy nam jeszcze coś za nią sprzedają a nie każą sobie za to płacić frankami, dolarami lub funtami szterlingów. Oczywiście nie czynią tego bezinteresownie, ale za swe dobre serce doliczają do cen odpowiedni procent.

Nie tracimy jednak nadziei, że doczekamy jeszcze tej miłej chwili, iż za bnikę, dawniej centówkę, płacić się będzie markę, a stróż domu, zadowolony będzie otrzymując również tyle za otwarcie bramy, a nie dwadzieścia marek, jak tego obecnie żąda. Kiedy jednak możemy się tego spodziewać, oto znowu pytanie, na które przecież dać odpowiedź trudniej niż na dwa poprzednie. Ludzie, którzy nauczyli się płacić za wszystko tysiącami, nie tak łatwo przywykną do wydawania drobnych sum. Jest źle, o tem niema dłużej, ale trzeba się cieszyć, że nie jest jeszcze gorzej. Zanim stosunki ułożą się w ten sposób, aby zwykły śmiertelnik mógł jakotako dychać, daleko czasu jeszcze upłynie, doświadczenie zaś, jakie nabyliśmy przyda się nam na później, nauczymy się bowiem obchodzić się bez rozmaitych niepotrzebnych rzeczy.

Światowa wojna ma więc dziś już widoczne dobroczynne skutki, które, nawiasem mówiąc, awykłama śmiertelnikowi bokiem już wylazły i nie miałby się przeciw temu, aby teraz wojna rozgorzała gdzieś daleko od nas, a my mogliśmy się zabawić w neutralnych, na czem, jak doświadczenie uczy, robi się wspaniale interesy.